

№ 7 Rok XXII.

Dnia 3 (16) Lutego 1901 r.



WIECZORY RODZINNE

Tygodnik Ilustrowany dla Dzieci i Młodzieży.

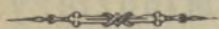


W teatrze maryonetek.

W teatrze marynetek.

Wspominaliśmy już, że pod kierunkiem p. Maryi Werybo, w niedziele i święta odbywają się w Dolinie Szwajcarskiej przedstawienia marynetek dla dzieci. Rycina nasza przedstawia właśnie grono rozbawionych widzów.

Marynetki są to sztuczne lalki, których członki poruszane są zwykle i niewidzialnie za pomocą sznurków lub drucików. Występują one w miejsce aktorów, w zastępstwie których odzywają się ukryci z tyłu ludzie. W stałych i większych teatrzykach bywają zwykle poruszane z góry na tle odpowiednich i zmieniających się dekoracji, w wędrownych zaś i przenośnych, do rzędu których należą doskonale nam wszystkie znane i cieszące się stałym powodzeniem pocziwe szopki, — lalki poruszane są z dołu.



Z pogadanek przyrodniczych.

Czystość u ptaków.

Czystość ciała, ubrania, mieszkania i wszystkiego, z czem mamy styczność, konieczna dla utrzymania zdrowia, jest nie tylko u ludzi, ale i u zwierząt poniekąd wrodzoną, z tą tylko różnicą, że ludzie pomimo iż rozumieją jej doniosłość, często przez lenistwo i niedbalstwo zaniedbują się w tym względzie, zwierzęta zaś ściśle idą za swym instynktem. Do rzędu najbardziej czystych stworzeń należą ptaki.

Utrzymanie owej czystości ułatwia im układ piór, zakładających się pochyło jedno na drugie, naksztalt dachówek na dachu, co sprawia, że spadający na nie kurz i brud wszelki zsuwa się prędko na ziemię. Wiele ptaków wodnych posiada około ogona pęcherzyki, tłuszcz zawierające, które zastępują im używane przez ludzi mydło lub pomadę. Ptak od czasu do czasu nabiera dziobem cząsteczkę tego tłuszczu i rozprowadza go po piórach, nadając im gładkość i połysk werniksu, zabezpieczającego od wody i pyłu.

Mimo tych środków zapobiegawczych, pióra u ptaków częstą się walają, a puch najbliższy ciała i zawsze ciepły, służy za siedlisko różnym pasorzytom; wiedzą o tem ci, którzy drób skubią. Dla pozbycia się dokuczliwego robactwa ptak posługuje się dziobem, którym, dzięki wielkiej elastyczności szyi, dosięgnąć może grzbietu, boków, a nawet ogona. Tym dziobem, niby rogowemi szczypczykami, wyławia drobne pasorzyty, niektóre zaś gatunki ptaków jak np. papuga, używają do tego języka. Poplątane pióra rozczesują ptaki szponami niby grzebieniem.

Wiele ptaków zarówno dla ochłody, jak dla czystości lubi używać kąpiei. Latem, gdy ciepły deszcz znacznie padać, wróble, wesoło świegocąc, najeżają piórka, aby woda łatwiej do skóry przeniknąć mogła, dopiero dobrze przemoczone uciekają do gniazda dla osuszenia się w nich.

Wiemy, z jaką przyjemnością kąpią się kanarki w klatkach, w tym samym celu uderzają o wodę skrzydełkami jaskółki, fruując nisko nad stawem. trzymają dziobek otwarty dla nabrania wody i opryskują się nią całe, nie powstrzymując lotu.

Pletwonogie w kąpiei dopełniają starannie toalety, biją się skrzydłami po bokach, aby woda do ciała przeniknąć mogła i za pomocą dziobu polewają się po wierzchu. Młode zaraz po wykluciu z jajka bywają prowadzone przez matki do wody, umieją po niej pływać i nurka dać. U ptaków, żyjących gromadnie, dość by jeden obja-

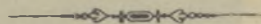
wił chęć kąpiei, żeby wszystkie poszły za jego przykładem. Mewy za danym przez jedną z nich sygnałem, gromadnie wskakują do wody, dają nurka, razem również wyskakują, stają na nogach i otrząsają się z wody, bijąc skrzydłami.

Audubon, ornitolog francuski *) opisuje, że „na piaszczystym wybrzeżu rzeki Ohio przy zachodzie słońca, setki pelikanów sadowi się rzędem. Nasyciwszy się dowoli rybami, wspaniałe te ptaki czyszczą pióra swoje, gładzą je, obciągają dziobem, póki nie ułożą w należyтым porządku, jakby stroiły się do obchodu jakiej uroczystości.” W ogrodach zoologicznych pelikany cały dzień zajęte są toaletą swoich piór, przybierając przytem najkomiczniejsze postawy. Są to najwięksi strojnisi w świecie ptasim.

Słowem, czystość u ptaków jest ogólna, wskazana przez instynkt dla utrzymania sił i zdrowia. Wyszędłszy z kąpiei ptaki otrząsają się z wody, rozkładają ogon, wyciągają skrzydła, potem skubią pióra na wszystkie strony, gdzie tylko dziobem dosięgnąć mogą. Przy układaniu piór ze szczególną starannością dopełniają tego na lotkach i przy ogonie, z którym nieraz mają wiele kłopotu, zanim splątane kity do porządku doprowadzą. Upierzenie głowy i szyi wygładzają, trąc te części ciała o grzbiet, piersi i skrzydła. Pletwonogie zwłaszcza odznaczają się nadzwyczajną elastycznością szyi, co im pozwala ruchy te wykonywać z wielkim wdziękiem.

Często po jedzeniu ptaki czyszczą dziób, łapki, a niektóre, jak kaczki, kąpią się zaraz. Bywają takie okazy, które pożywienie swoje iniją przed jedzeniem. Jakiż to wzór do naśladowania dla ludzi, niedbałych o porządek i stroniących od wody i mydła!

P. Gr.



B A Ś Ń

O zaklętej królewnie i dzielonym ŻAKU.

(Dokończenie).

Sokół, który przy jabłonce
Dniem i nocą pełnił straż,
Gdy księżycą światło lśniące
Oświeciło zamek nasz,
Z złotej uniósł się jabłoni,
By, zanim nastanie świt,
Nim się zorzą wschód zapłoni,
Okrażyć zamkowy szczyt
I obejrzeć zamek wkrąg;
Więc powoli wzrok sokoli
Wkrąg nieznacznie bieży bacznie.

Wnet na szklanej góry stoku
Spostrzegł żaka, więc na łup
Spuścił nagle się z obłoku
Pewny, że to świeży trup.
W ciało ostre wpił mu szpony,
Ostre szpony w ciało wpił...
Żak skorzystał z nadarzanej
Sposobności, — z całych sił
Za nogi uchwycił go;
Złakł się sokół, począł wokół
Górnym szlakiem krążyć z żakiem.

Lecz próżno się sokół żyma,
Próżno w górny leci szlak;
Bo tem krzepiej nog się trzyma,
Tem się mocniej trzyma żak —

*) Ornitolog znaczy — badacz i znawca ptaków.

Im się sokół wzbija wyżej,
 Im wśród wyższych krąży stref,
 Nie pomogą skrzydła chyże,
 Ni lot szybki na wzór mew.
 Sokół pojął, że ów żak
 Przy nim wszędzie, — nie pozbędzie
 Się jak złego żaka tego.

Więc rad nie rad zniżył lotu,
 Z mniejszym pędem przestrzeń pruć,
 Z takiego rzeczy obrotu
 Żak się cieszy, spojrzysz w dół,
 Ujrzał zamek w blaskach lśniący,
 Wielkiego smoka u wrót,
 Ujrzał widok czarujący
 Na ganku królową - cud.
 Zatopioną w myślach swych.
 Smutna siedzi, główkę biedzi
 O swej doli myśl mozoli.

Więc żak począł dumać o tem,
 Przywołując cały spryt,
 Jak tu skończyć z tym kłopotem,
 Dostać się na góry szczyt;
 Sokół mocno wpił swe szpony,
 Pozbyć się ich ani rusz,
 Wtem wspomniał uszczęśliwiony,
 Ze w zanadrzu tkwi mu nóż,
 Więc czempredziej wyjmie go,
 I bez trwogi obie nogi
 Sokołowi przepołoży.

Z bólu wyżej wzbił się sokół
 Nad szczyty zamkowych wież,
 A żak upadł pod ostrokół,
 Co otacza wzdłuż i wszere
 Naokoło zamek złoty, —
 Upadł jako z drzewa liść,
 Nie traci jednak ochoty,
 Do jabłunki pełźnie, — iść
 Już nie mogąc z braku sił.
 Lecz choć siły opuściły,
 Dąży stale i wytrwale.

Do jabłunki kroków dwieście,
 Ale żak się długo włókł,
 Aż przypelznął do niej wreszcie,
 Urwał jabłek kilka sztuk,
 Spiekłe usta chłodzi nieco,
 Do swych ran przykładą wnet,
 Bo sokół pazury swemi
 Poranił mu cały grzbiet;
 Złota skórka — niczem lek
 Zachwalany — goi rany,
 Nie do wiary — istne czary!

Zdrów i wesół żak nasz śmiało
 Do zamku kieruje krok.
 Wtem w powietrzu zaszumiało,
 Drogę zastępuje smok,
 Wielki, straszny, ogniem błyska
 Ale żak, nie tracąc słów,
 Złotem jabłkiem w niego ciska,
 Uciekł smok i skrył się w rów.
 Wszelki znikł po smoku ślad.
 A tymczasem się z hałasem
 Wielka brama rozwrze sama.

Radość żaka trudno orzec!
 Na zamkowy pełen drzew
 Pełen kwiatów gdy wszedł dworzec,
 Zbiegła mu do serca krew.

Oto ujrzał na krużganku
 Zmartwychwstały cały dwór,
 A po środku w barwnym wianku
 Swą królową z poza chmur,
 Tę, dla której tyle lat,
 Kładąc życie w dni rozkwicie,
 Darmo bieży kwiat młodzieży.

Żak się pierwszy na szczyt wdziera
 I zakłęciu kładzie kres,
 Więc w nim każdy bohatera
 Wśród radości wita łez.
 A królowa mu oddała
 Dłoń swą, serce, cały kraj;
 Blask otacza go i chwała
 A dokoła istny raj.

Słuszna chwała — bo tam gdzie
 Padło wielu — dopiął celu
 Wytrwałością i dzielnością.

Adam Lach Szymański.

PANICZYK

przez

Z. Morawską.

(Dalszy ciąg).

— To cóż, przyjedzie za kilka dni! — przerwała Hania.

— Przyjedzie, ale ma tyle interesów, że może nie będzie mógł zająć się w tej chwili odebraniem malca. Zresztą, Piotrowie dobrowolnie go nie oddadzą, trzeba będzie przeprowadzić całą sprawę, a przez ten czas chłopak będzie zostawał pod złym wpływem tych ludzi

— Więc cóż trzeba zrobić? — spytała Hania.

— Trzeba jak najczęściej jeździć na Budy, rozmawiać z tymi ludźmi, żeby wiedzieli, że rzeczywiście chcemy opiekować się małym sierotą — mówiła dalej matka — Może nawet te odwiedziny wpłyną na ich poprawę — dodała.

— Kiedy to tak przykro...

— A jednak? — spytała pani Chrustowska.

— A jednak pojedę, ile razy tylko mama pozwoli! — odrzekła Hania, całując matkę w rękę.

Bryczka właśnie w tej chwili skrzyła w lipową aleję, wiodącą do dworu, a woń kwiatów, świeżo skoszonego na trawnikach siana, drzewa ozłoczone promieniami zachodzącego słońca i mieniące się złoto-purpurową barwą oraz ład i porządek, jaki tu wszędzie panował, zrobił miłe wrażenie na Hani.

Zdawało jej się, że tego wszystkiego dawniej nie widziała, a przynajmniej nie odczuwała tak, jak teraz, gdy zetknęła się z brudem i taką przykrą atmosferą, w której przed chwilą przebywała.

— Manusiu, jak tu ładnie, jeszcze nigdy te drzewa nie wydały mi się tak piękne, a kwiaty tak nie pachniały, jak dzisiaj! — zawołała, wysiadając z bryczki.

Jakaż jestem szczęśliwa, że żyję w tak pięknym otoczeniu! a jacy tamci ludzie są biedni — dodała, myśląc o mieszkaniach Bud Chrustowskich.

— Biedni, po stokroć biedni! — odrzekła matka. — Do nas też należy, ażebyśmy ich z tej biedy i nędzy wyrwali.

Hania westchnęła. Nie miała jednak czasu na wszelkie rozmyślanie, bo Ner wskoczył na jej ramiona i począł po swojemu objawiać swą radość, przyczem zrzucił jej kapelusz i o mało nie przewrócił na ziemię.

— Nie było telegramu? — spytała pani Chrustowska, wchodząc na werendę.

— Nie było — odrzekł służący, zdejmując z niej okrycie.

— Ach, ten telegram! czemu go dotąd niema! — rzekła z niecierpliwością Hania, uwalniając się od nowych objawów radości Nera i wchodząc za matką do domu. — Ten telegram, ten telegram! — mówiła, zwracając się znów myślą ku bratu, od którego na chwilę odbiegła. — Czemu go niema? — dodała.

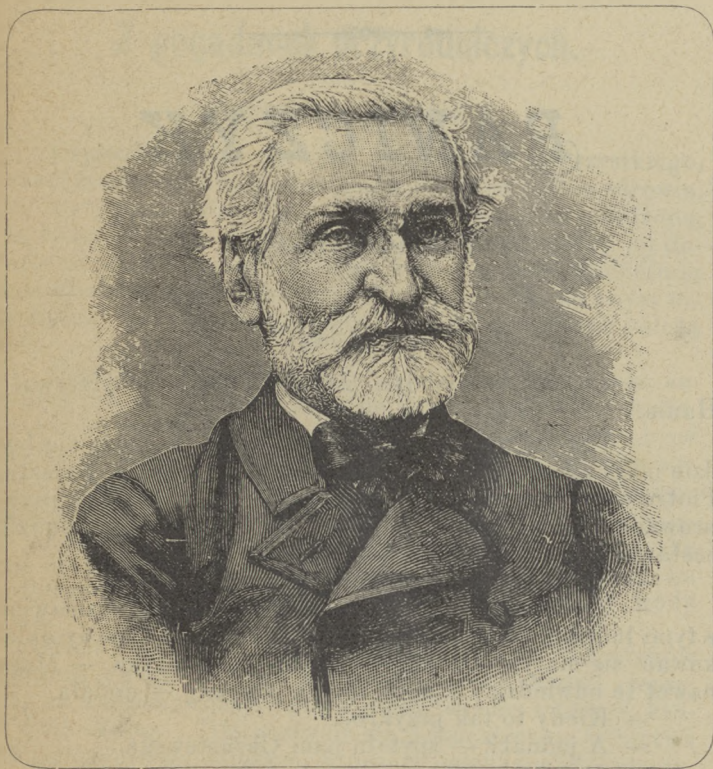
— Nie niecierpliw się, moje dziecko, nie przyspiesz to telegramu — rzekła matka.

Lecz Hania chodziła wciąż za nią i powtarzała:

— Ciekawam bardzo, czemu niema dotąd telegramu!

— Idź oto zobacz, czy już skończyli polewanie kwiatów — rzekła matka — prędzej ci czas zejdziesz!

Lecz i słońce zaszło, wszyscy porozchodzili się na spoczynek, poszła i Hania do swego pokoiku, będącego obok pokoju matki, a telegramu jak nie było, tak nie było!



Józef Verdi. (str. 54)

Dwór w Chrustowie zwykle tak ludny podczas lata, z końcem wakacji opustoszał z gości, a wyjazd Chrustowskiego z Józiem jeszcze większą pustkę w nim uczynił. Nauczycielka też Hani z odpoczynku letniego jeszcze nie wróciła, dziewczynka więc była tylko z matką i prawie ani na chwilę jej nie opuszczała. Noc jednak jakkolwiek piękna, cicha, gwiazdzista zmusiła wszystkich do spoczynku, a Hania, chociaż przez cały wieczór myślała o mającym nadejść telegramie, jak tylko przyłożyła głowę do poduszki, zaraz usnęła.

Tylko pani Chrustowska czuwała długo. Za każdym głośniejszym szczeknięciem psów podwórzowych, oczekiwała czy nie zastukają do niej i nie ukaże się tyle oczekiwany przez nią papier.

Czekał też długo bardzo i Waluś.

— Co on tam teraz robi? — mówił sobie, myśląc o paniczku. — Bylibyśmy oto poszli nad staw, Ner byłby dzikie kaczkę wypłaskał, a paniczuk! ze swej fuzyjki, byłby zabił, albo i nie, ale zawsze byłaby uciecha! Ze mnie też to nie zabrali, zawszeby mu raźniej było! — westchnął. A przy

tych rozmyślaniach i westchnieniach, sen go zmorzył, oparłszy się na stole, przespał tak prawie do północy.

A telegramu jak nie było, tak nie było!

Wreszcie i noc długa sierpniowa przechodziła powoli w swej uroczystej ciszy i gwiazdy gasnąc poczęły, zrzucając z siebie świetlane blaski; pozostała tylko jedna, świetniejsza od innych, odbijająca blaskiem od ciemnego błękitu nieba. I ukazał się błądy świt. Drzewa powiały koroną, w krzakach ozwało się jakieś ptaszę, a stróż nocny, ziewając przeciągle, schodził już ze swego stanowiska, gdy towarzyszący mu pies począł szczekać zajadle, a w bramie ukazał się jakiś człowiek.

— Kto tam, po co? — zapytał stróż, spełniając swój obowiązek i przytrzymując psa, gotowego do rzucenia się na przybysza.

— Telegram! — odpowiedział przybyły.

— Oo, po nocy! — mówił stóż, prowadząc przybyłego do dworu.

— Telegram nie pyta, jeno leci, a potem leć i ty z nim człowieku! — mówił posłaniec.

— No, nie narzekajcie, opłaci wam się, boć tu na to pismo czekają.

Wkrótce rozbudzona służąca otworzyła delikatnie drzwi do pokoju pani.

— Telegram? — spytała pani Chrustowska, zapalając światło.

I rozerwawszy pieczęć przebiegła szybko krótkie wyrazy:

„Zdawał, rezultat jutro, zdaje się dobry.”

— Więc jeszcze nie koniec! — westchnęła.

Uspokoili się jednak nieco. A rozkazawszy, żeby posłańca ugostowano, pomyślała sobie:

— Hania ucieszy się, gdy wstanie.

I sama teraz po przebytej na oczekiwaniu nocy, usnęła nareszcie.

IV.

Koleżka.

Gdy na drugi dzień pan Chrustowski przyszedł z Józiem do kancelaryj szkolnej, obadwaj ze drżeniem oczekiwali na ostateczne orzeczenie nauczycieli, co do zdania egzaminu i przyjęcie go do szkoły; pan inspektor, będący wówczas w kancelaryi, rzekł z uśmiechem:

— Powinszować, powinszować, syn pana ma same piątki, zdał z odznaczeniem, przyjęty do klasy trzeciej.

Pan Chrustowski uściśnął rękę inspektora, a Józio zaczerwieniwszy się po same uszy, zapomniał się nawet uklonić.

— Przyjęty, zdał z odznaczeniem! — dźwięczało mu w uszach, a serce kołatało z radości.

Teraz cały szereg piątek począł tańcować przed jego oczami, czepiając się jego ramion, przysiadając u jego stóp lub ślaniając się po sali z butnie zakreconym do góry nógówkiem.

Opamiętał się dopiero gdy ojciec po załatwieniu zwykłych formalności, pożegnał się z inspektorem i rzekł:

— Pójdźmy, mój ty trzecioklasisto!

Józio zbliżył się nieco i szasnawszy zgrabnie nogą, uklonił się obecnym i spytał śmiało:

— Kiedy mam przyjść do klasy?

— Trzeciego września, już ogłoszone w gazetach — odrzekł sekretarz i począł pisać dalej.

Józio znów się uklonił, i niezwłocznie skierował się z ojcem ku wyjściu.

— Jakiś *paniczuk*! — rzucił jeden z urzędników.

— Baa! — odrzekł drugi — ale to szczególne, że zdał tak dobrze! niema kłopotu z pisaniem, stawiam tylko piątki!

(d. c. n.)



Widok Płocka od strony Wisły.

PŁOCK.

Płock, miasto główne powiatu i guberni płockiej, jest jedno z najstarszych w kraju. Początek jego sięga bardzo odległych czasów, bo według podań kronikarzy, już Mieczysław I, wkrótce po przyjęciu wiary chrześcijańskiej wznosił w tym grodzie kościół.

Malownicze położenie miasta na wysokiej górze, piękne gmachy i świątynie zdawna już uczyniły je sławnym, tak, iż XVI wieku przed wzrostem Warszawy, Płock uchodził za drugie po Krakowie miasto.

Poeta nasz Klonowicz, zwany z łacińska Acernus, tak śpiewa o tym grodzie w swoim „Flisie.”

Ujrzysz na szklacie przez górę zaiste
Krzyże złociste.
Płocko wesołe na łądzie wysokim

Oglądasz, będąc pod brzegiem głębokim,
Chcesz li wierzch ujrzeć stamtąd kościółowy,
Zdejm kolpak z głowy.

To samo można powiedzieć i teraz podjeżdżając do Płocka statkiem od strony Warszawy, gdy nagle po długim pasmie dość niskich i równych brzegów, przed oczami podróżnego po prawej stronie ukaże się góra a na niej starodawna, bo sięgająca 1136 roku katedra.

W tej katedrze pod wspianiem pomnikami spoczywają prochy dwóch królów, którzy najbardziej przyczynili się do wzrostu i sławy tego grodu i najchętniej w nim przebywali, a mianowicie Władysława Hermana i Bolesława Krzywoustego.

W r. 1207 Płock został stolicą udzielnego księstwa Mazowieckiego, a potem jednej z jego dzielnic i dopiero w XV wieku król Jan Olbracht ostatecznie wcielił go do królestwa. W XVII wieku pożary, morowe powietrze, a najbardziej wojny szwedzkie wywarły zgubny wpływ na

dalszy rozwój miasta; zamek uległ zniszczeniu, handel i przemysł podupadł, ludności nie przybywało. Obecnie Płock podźwignął się i należy do rzędu ludniejszych i piękniejszych miast prowincjonalnych, przytem odznacza się czystością i dobrem utrzymaniem. Liczy około 30,000 mieszkańców.

Podróż do Płocka z Warszawy statkiem po Wiśle nie jest długa ani zbyt kosztowna, opłaci się zaś sownie przyjemnością poznania starożytnego grodu, zwiedzenia katedry i jej licznych pamiątek.

M U Z Y K.

— Skrzypeczki, ach, żebym miał skrzypeczki! — wołał mały chłopczyzna, leżąc w gorączce.

Twarzyczka mu pałała, oczki błyszczały niezdrowym połyskiem, a on wciąż spieczonemi wargami powtarzał:

— Skrzypeczki, ach, żebym miał skrzypeczki!

— Kupię ci, kupię skrzypeczki — rzekł ojciec, pochylając się nad łóżeczkiem jedynaka.

— Będiesz miał skrzypeczki, Józiu kochany, tylko wyzdrowiej, synku najdroższy uspakajała matka.

— Będę miał naprawdę skrzypce, będę grał? — pytał, niedowierzająco chłopczyk.

Od chwili tej obietnicy, zdrowie jego znacznie się polepszyło, wkrótce wesoły i zarumieniony zadziwiał grą swoją na otrzymanych skrzypcach wszystkich mieszkańców małej wioski włoskiej Roncole, gdzie rodzice jego mieli niewielki sklepik.

Lekceważyli oni przez długi czas muzykalne pragnienia swego Józia, chcąc go nakłonić do bardziej praktycznych zajęć; gdy w czasie ciężkiej jego choroby przekonali się o niezwykłym zapale jedynaka do tej sztuki, choć ubodzy, zebrali grosz ostatni i wysłali go na dalszą naukę do profesora w Busseto, potem do Konserwatorium w Mediolanie.

I tam z początku przyjęto go z nieufnością, lecz wkrótce poznano się na jego talencie, gdyż obok iskry Bożej natchnienia, młody chłopiec odznaczał się niepospolitą i wytrwałą pracą, bez której i najwyższy talent musiałby zmarnieć.

Nic więc dziwnego, że prędko zasłynął jako znakomity muzyk i kompozytor włoski, dając światu muzykalnemu przepiękne utwory, a zwłaszcza opery. Wiele z nich i u nas przedstawiają na scenie ze stałym powodzeniem, a wszyscy uczący się grać znają wyjątki z Ernaniego, Trubadura, Aidy i innych jego oper.

Bo małym tym chłopcem, tęskniącym w gorączce do skrzypek, był nie kto inny, jak słynny kompozytor włoski Józef Verdi, zmarły d. 2/ stycznia 1901 r. w 88 roku życia. Jak my cenimy i kochamy naszych muzyków z Chopinem i Moniuszką na czele, tak całe Włochy łączą się w smutku i holdzie dla swego mistrza, który oprócz talentu posiadał także szlachetne i litościwe serce, wiele czynił dobrego za życia, a dla podupadłych i potrzebujących artystów ufundował doskonale urządzone dom wspólne.

Zofia Urbanowska.

ROŻA BEZ KOLCÓW.

Opowiadanie osnute na tle przyrody tatrzańskiej.

(Dalszy ciąg)

Rozpadlina była jeszcze niżej tuż pod granią, a mech rosnący tam obficie i nie zgnieciony, dowodził że nie dotykały go stopy niczyje. Nikt widocznie nie chodził tamtędy,

ani ścieżki nie było w pobliżu. Słońce świeciło wprost w tę rozpadlinę. Henryk położył się na ziemi, zapuścił wzrok i o mało nie krzyknął z radości i zachwytu. W rozpadlinie było pełno szmaragdów i dyamentów, tylko po nie sięgnąć!

Wyciągnął drżącą rękę, ale co to jest? Czary chyba! Zjawisko znikło, jak tylko padł na nie cień ręki. Zmieszany, cofnął się i patrzył znowu: drogie kamienie były na dawnym miejscu, skrzyły się tysiącem blasków i wabiły kusząco, a były tak blisko, tak blisko! Zapuścił znowu rękę, ale wydobyl tylko garstkę mchu zroszonego obficie, nic więcej. Ogarnęło go przerażenie.



Orzeł.

— To jakieś zaczarowane klejnoty — szepnął — skoro za dotknięciem mej ręki zamieniają się w prosty mech. Albo też to sprawa ducha nieczystego! Dziadunio zawsze powtarza, że tylko zapracowane pieniądze, nabyte są uczciwie i że innych dotykać się nie godzi, a ja chciałem łatwo się wzbogacić i korzystać ze skarbów pochodzących z nieczystego źródła, zdobytych może kosztem krwi ludzkiej, wydartych gwałtem i przemocą!

Ale choć strach zabobonny go ogarnął, ciekawością niepowściągniętą wiedziony, zapuścił znowu wzrok w rozpadlinę. Skarby znajdowały się na dawnym miejscu.

— To już napewno sprawa złego ducha — szepnął i przeżegnał się.

Wtem posłyszał jakby szelest ogromnych skrzydeł w górze, i spostrzegł duży cień nad sobą; nie zdołał podnieść głowy, bo coś spadło nań jak piorun i jakieś szpony wbiły się w skórę jego serdaka, włosem odwróconą do góry.

Straszny krzyk wydobył mu się z piersi: W pozycji w jakiej się znajdował, leżąc twarzą do ziemi, nie mógł się nawet bronić. Instynktem wiedziony, wysunął ręce w tył chcąc zostawić serdak na pastwę, ale ostre szpony wbiły mu się przez przez futro w ubranie, a dziób kaleczył szyję. Krzyczał więc tylko z całej siły, czując że olbrzymie skrzydła zaczęły się poruszać, że jest uniesiony w powietrze i albo zostanie w kawały poszarpanym przez orła, albo roztrzaska głowę o skałę.

Ale w tejże chwili padł strzał. Henrykowi zamroczyło się w oczach i stracił przytomność.

Warburton mino swoich sześćdziesięciu kilku lat, biegł z góry jak młodzieniec z dygnącą fuzyą w rękę, a za nim towarzysze podróży i górale. Nad samym brzegiem przepaści, o dwa kroki od niej upadł orzeł, trzymając jeszcze w szponach zemdlonego chłopca.

— Gdyby strzał pański spóźnił się o dwie sekundy, byłoby już zapóźno — przemówił Jakób, nie śmiejąc powiedzieć sobie, że już jest zapóźno. Chłopiec miał głowę skrwawioną, padając uderzył o kamień — a myśl, że panna Katarzyna z ufnością powierzyła go jego opiece, przejęła go dreszczem trwogi.

Oswobodził go ze szponw ptaka, który w pierś trafiony, konał powoli, patrząc gasnącym wzrokiem na słońce, i ukłękawszy przy Henryku, rozpiął ubranie, przyłożył ucho do piersi i rzekł:

— Żyje!

Potem obejrzał go starannie na wszystkie strony i zbadał że nie ma nic stłuczonego, a rana na szyi z której sączyła się krew i skóra rozcięta na głowie, były nieszkodliwymi skaleczeniami. Zawołał o wodę i bryzgnął mu kilkakrotnie na twarz.

Chłopiec otworzył oczy: pierwszą osobą na którą padł wzrok jego, był Anglik. Henryk popatrzył nań zamglonymi oczyma; nie odzyskał jeszcze przytomności i nie wiedział gdzie się znajduje — wydało mu się że jest na wsi, w Miratyczach. Skinął ręką, a gdy baronet pochylił się nad nim, objął go rękami za szyję i szepnął:

— Oh, dziaduniu, żeby dziadunio wiedział, jaki ja miałem sen okropny! Sniło mi się... Ach to pan, sir Edwardzie, przepraszam pana!

Drobne ręce opadły, a oczy chłopca zamknęły się znowu. Zemdlął powtórnie.

Oblicze baroneta zmieniło się w jednej chwili. Śpiżowy ten człowiek poruszony był do głębi, a choć te słowa wymówione były w obcym dla niego języku, serce zmarławię uderzyło mu pod dotknięciem dziecinnej pieczyoty. Wyprostował się i patrząc na doktora, rzekł:

— Uderzenie jednak mogło być silniejszym niż się panu zdaje: Czy nie obawiasz się pan wstrząśnienia mózgu?

— Zdaje mi się że tego niema: jest tylko stłuczenie, w połączeniu z wielkim wzruszeniem nerwowym. Uszkodzeń żadnych; puls nieco podniesiony, ale serce funkcjonuje dobrze. Przytomność jest, skoro pana poznał, chociaż omylił się na razie. Jutro będzie zdrów.

I wzięwszy powtórnie wody, bryzgnął mu w twarz kilkakrotnie. Za każdym razem chłopiec wstrząsnął się, wreszcie otworzył oczy, powiódł dokoła wzrokiem przytomnym i przypomniał sobie wszystko. Usiłował się podnieść ale nie mógł. Baronet podłożył mu rękę pod plecy i oparł jego głowę na swych piersiach.

— Dziękuję — rzekł — jaki pan jesteś dobry, sir!

— Przytomność zupełna, nie będzie mu nic — rzekł stojący przy nim Witold.

— Jak to było? — zapytał Henryk po chwili — czy ja spadłem?

— Niby tak?

— A co się stało z orłem?

— Leży u twych stóp, sir Edward go zastrzelił.

— Uratował mi życie — szepnął chłopiec i serce zaabiło mu gorącą wdzięcznością. Chciał się odwrócić, żeby spojrzeć na baroneta, ale nie mógł i poruszywszy się jęknął.

— Czy boli cię co? — zapytał doktor.

— Boli mnie trochę ręka lewa i głowa, ale czuję, że to nic wielkiego.

— No, to jesteś zuch!

Henryk uśmiechnął się. Na żądanie Warburtona przeniesiono go do jego namiotu. Chłopiec chciał iść o własnych siłach, ale nie mógł utrzymać się na nogach i o mało nie zemdlął znowu. Gdy już leżał na łóżku sir Edwarda, doktor opatrzył mu rany, zrobił kompres i dał kieliszek tokaju, zaleciwszy żeby postarał się zasnąć, co też wkrótce nastąpiło.

Warburton siadł w nogach posłania chłopca i zagłębiwszy palce w skrętach swej brody, jak to było jego zwyczajem, w głębokich myślach się pogrążył. Badał on sam siebie: stało się z nim bowiem coś dziwnego w chwili, gdy ręce dziecka objęły miłośnie jego szyję. Pancerz lodowy pokrywający jego serce, pękł. Czuł że mógłby pokochać tego chłopca głęboko, namiętnie, że już go kochał nawet, że mógłby rozpocząć nowe życie, gdyby. gdyby to dziecko mógł mieć na osłodę dni swoich. Tak, gdyby... ale wiedział dobrze, że to jest niemożliwym.

Patrzył na podkrążone oczy, na które długie rzęsy rzucały jeszcze większy cień, na twarz bladą, ściągłą, na

małe, delikatne usta, zaciśnięte wyrazem znamionującym siłę woli — i dopatrzył podobieństwo do swojego syna, gdy ten był jeszcze pacholęciem. A im więcej patrzył, tem więcej znajdował tego co chciał znaleźć... Gdyby mu go oddano, zrobiłby go dziedzicem Rochdale i jednym z najpięwszych panów Anglii: jego idee, zamiary, znalazłby spadkobiercę. Ale nie dadzą mu go, to pewna, i umrze jak żył, samotny...

Białe delikatne czoło Henryka tak szlachetne miało zarysy, taką tchnęło słodyczą, że Warburton, który nie znał słabości, nie mógł powściągnąć chęci przesunięcia z pieszczotą po jego gęstych bujnych włosach. Chłopiec poruszył się i uśmiechnął przez sen, ale się nie obudził.

U drzwi namiotu stanął profesor i chciał coś mówić, ale Warburton położył palec na ustach, wskazując na dziecko i podszedł ku niemu.

— Sir — rzekł Strand z ożywieniem, a na twarzy miał gorączkowe rumieńce — dowiedziałem się, że Brachiopod znajduje się w stawie Dwoistym pod Kościelcem.

— Doprawdy? — zapytał Warburton, daleki myślą w tej chwili od wszystkich skorupiaków. — Więc cóż pan zamierzasz przedsięwziąć?

— Zabieram z sobą dwóch górali i idę natychmiast. Co za szczęście, że spotkałem pewnego przyrodnika, idącego tędy do Morskiego Oka. I pomyśleć, że byłem tak blisko Brachiopoda przy Czarnym Stawie! Bo wie pan, ten Dwoisty jest w dolinie Stawów Gąsienicowych. Jest ich tam pięć, o czym nam wtedy podobno mówili przewodnicy, ale ja ich zupełnie źle zrozumiałem. Nie przeczuwałem, że znajduje się tak blisko tego, czego szukam.

— W istocie, to dziwne — rzekł, uśmiechając się baronet.

— Wszystko wynikło z nieporozumienia. Przewodnicy mówili mi, że w tej dolinie jest aż pięć stawów, a ja myślałem, że Czarny Staw jest jednym z pięciu w dolinie Pięciu Stawów. Wszystko dlatego, że zgubiłem gdzieś moją mapę.

— Zgubiłeś ją pan?

— Ach — rzekł, machnąwszy ręką, a w myśli dodał: — wszystko przez tę przekłątą wstążkę.

— Więc kiedyż pan powrócisz?

— Nad wieczorem, jeżeli mi nie wypadnie tam zanoć.

— Mamy więc czekać na pana?

— Eh, nie, bobyśmy się wzajemnie krępowali. Spotkamy się przy Morskiem Oku.

— Weźże pan z sobą dostateczną ilość żywności na dwa dni, dla trzech ludzi. Niech Jerry pana we wszystko co potrzebne, zaopatrzy. Pamiętajcie przedewszystkiem o koniaku.

— Już ja sam będę o wszystkim pamiętał. Do widzenia.

— Do widzenia — rzekł Warburton i spuściwszy zasłonę namiotu, usiadł napowrót.

Ale szelest obudził Henryka. Otworzył oczy, i widząc że ktoś jest przy nim, a nie mogąc rozeznaczyć rysów z powodu ziaroku panującego w namiocie, zapytał:

— Kto tu jest?

— Ja — odpowiedział baronet — czy boli cię co?

— Boli mnie tylko trochę głowa. Czy ja długo spałem.

— Z godzinę.

— Więc pan nie odchodził ode mnie wcale?

— Siedziałem przy tobie Harry.

— Jakiż pan dobry! A ja winienem panu życie... Gdyby nie pan, orzeł byłby mnie uniósł i poszarpał w kawały, albo też roztrzaskałbym głowę o skały.

(d. c. n.)

15-y list Janka Ż. do Redakcyi „Wieczorów.“

(Dalszy ciąg)

28 sierpnia, ferma Rhenoster nad rzeką Rhenoster.

Kochani koledzy!

Robert ocalony! donoszę wam o tem, gdyż wiem, że się ucieszycie to dobrą wiadomością. Pojmanemu groziłby los Corduy, sprawcy zamachu na marszałka Roberta, którego rozstrzelano przed kilku dniami w Pretoryi. Straszne wrażenie robi opis tej egzekucyi, czytałem go dziś w gazecie, którą przywiózł na fermę młody francuz, ochotnik z oddziału Delareya.

Nie mogę pisać ani myśleć o tem, mam żal do Anglików, żal do marszałka Roberta, chociaż okazał mi on współczucie. Powiadają tutaj, że Anglicy surowością nie zgębiają Holendrów, przeciwnie ta surowość podnieca tylko ich opór. Burowie są łagodni, nawet ocieżali z natury, ale doprowadzeni do ostateczności, stają się nieubłagani wrogami Anglii. Ci nawet Burowie, którzy już ulegli, na nowo idą do szeregów. Do takich właśnie należy właściciel fermy Rhenoster pan Van de Velde. Walczył on pod rozkazami generała Jouberta, ale po jego śmierci wrócił do domu i byłby może pogodził się losem, gdyby nie rozstrzelanie Corduy.

29 sierpnia.

Muszę dziś skończyć list, bo mam sposobność wysłania go do was, koledzy. Francuz, który przywiózł nam gazety, wyjeżdża dziś z Rhenosterfarm; ma on przez Kronstadt i Kapstad wracać do ojczyzny, bo chce zaciągnąć się w szeregi, które z Francyi odpływają do Chin. Dziwny to a bardzo sympatyczny człowiek ten pan Jerzy Vidal, mówi, że wyjechał z Paryża, gdyż nie mógł dłużej słuchać jałowych kłótni różnych stronnictw.

Walczył w Transwaalu, bo chciał nauczyć się wojny, nabrał już trochę doświadczenia, jedzie więc do Francyi.

Ranny pod Heilbornem, leczył się tu na fermie przez kilka miesięcy, a żona właściciela, pani Bety, czyli Elzbieta, naraziła swe życie, ratując go od nieprzyjaciół. Mógłbym z Vidalem jechać do Kapstadu podróż we dwóch byłaby nawet tańszą i przyjemniejszą, ale Francuz jest bardzo źle notowany u władz angielskich, łatwo więc przy nim popadłbym w biedę, a przytem i ja i mój koń jesteśmy zmęczeni po forsownej ucieczce z Johannesburga. Zabawie więc jeszcze dwa dni w Rhenosterfarm, a potem sam oddam się w opiekę Anglikom i opatrzonny rozkazem marszałka Roberta, pojedę wprost do Durbanu lub Kapstadu.

Ostatni raz pisałem do was, koledzy, jeszcze z Johannesburga, właśnie w chwili kiedy zaczynałem malować skórę Roberta na czarno, pochlebiam sobie, że z niepokojem czekacie wiadomości, jak udała się nasza maskarada i ja-

kich doznaliśmy przygód. O nie zapomnę nigdy tej nocy, Robert wyglądał jak najprawdziwszy murzyn, ale też nie żałowałem szuwaksu; tarłem nim jego twarz, rękę, szyję mocniej niż cholewę buta. Trudniej poszło z włosami, liche ze mnie fryzjer, koledzy, ostrzygłem wprawdzie mego przyjaciela, ale zrobiłem to tak niezręcznie, że głowa jego podobna była do futra pogryzionego przez mole. Od czego jednak sadze i czapka, sadzę uczerniłem czuprynę Roberta, aż piszczał biedak pod moją pięścią, czapkę nasadziłem mu z fantazją na tył głowy i omal nie krzyknąłem z radości, bo Burns zrobił się zupełnie podobny do Dżalgi, murzyna, którym posługiwaliśmy się w redakcyi.

Udawałem dobry humor, ale moje nogi drżały, jak w paroksyzmie febry, Robert był tak jeszcze osłabiony, że cały kierunek naszej ucieczki spoczywał na mnie. Starałem się o tem nie myśleć, gdyż należało postępować energicznie; wiedziałem, że Mina przebrana za młodą Malajkę czekać będzie przed domem i da znak, czy wyjść można bezpiecznie na ulicę. Zegarek wskazywał dziewiątą, nie było więc czasu do namysłu. Podałem rękę Robertowi, stał na środku pokoju niemy i skupiony w sobie.

— Bóg ocali nas, przyjacielu, albo zginiemy razem — powiedziałem wzruszony.

— Niech Bóg czuwa nad tobą, Johnie, niech cię wróci ojcu, ja mego pożegnać nawet nie mogę — zawołał i schwycił paczkę z książkami, bo uradziliśmy już wprzód, że nieść ją będzie na ramieniu, żeby zasłonić twarz, przechodząc koło latarni, zawieszanej w korytarzu. Przeżegnałem się i wyszedłem pierwszy, jak przystało czynić młodemu gentlemanowi, który miał do swych usług murzyna. Służący hotelowy spojrzał na mnie zdziwiony, nigdy bowiem dotąd nie wychodziłem o tej porze zwłaszcza w towarzystwie grooma; udałem, że go nie widzę i zbiegłem szybko po schodach, żeby wyrzeć na ulicę. Mina ubrana w czerwony szal i turban Malajki, stała opodał, zobaczywszy mnie skinęła ręką, był to znak, że możemy iść śmiało tam, gdzie czekały na nas konie. Obejrzałem się za Robertem i omal nie krzyknąłem z przerażenia; mój mniemany Dżalgi na widok Myny zapomniał o niebezpieczeństwie, uściskał kuzynkę i prosił ją, aby pożegnała ojca, bo on zapewne nigdy go już nie zobaczy. Szczęściem pusto było na ulicy! Szedłem pierwszy, wypatrując drogę, żeby uniknąć patrolu, który mógł zatrzymać zbiegów, udawałem zucha choć serce tłukło mi się w piersiach, jak wielkopiątkowa kołatka. Wtem zadudniły czyjeś kroki po bruku, biegł ktoś za nami, gonił nie gonił, ale pędził co sił.

— Pilno temu pasażerowi — mruknąłem pod nosem, nie śmiejąc obejrzeć się za siebie, a tu jakaś czarna łapa schwyciła moje ramie.

— Master *) John — szepnął mi ktoś do ucha — master John nie uciekaj bez Munga, Mungo kocha master Johna i Master Roberta, Mungo bić Anglików, Mungo bronić dobrych dwa master.

(d. c. n.)

*) Czyt. mister.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rocznie z odnoszeniem do domu rub. 4, z przesyłką pocztową rub. 5—stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

W Austrii rocznie koron 13. — W Prusach: rocznie mar. 12.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10.

TREŚĆ: W teatrze maryonetek (z ryc.) — Z pogadanek przyrodniczych: Czystość u ptaków przez P. Gr. — Baśń o zaklętej królownie i dzielnym żaku, przez A. L. Szymańskiego. — Paniczek, przez Z. Morawską. — Muzyk (z portretem). — Płock (z ryc.) — Róża bez kolców, opowiadanie osnute na tle przyrody tatrzańskiej, przez Zofię Urbanowską (z ryc.) — Piętnasty list Janka Ż. do Redakcyi Wieczorów. — **Dodatek:** Abecadło w obrazkach: Łódź (z ryc.) — Zapusty u Maryni. — Piotruś i Basia przez A. Skibniewską. — Łamigłówki i rozwiązania. — Skrzynka do listów. — **Dodatek książkowy:** Dziedzictwo Karola Wielkiego, powieść historyczna z IX-go wieku Karola Deslys, przekład z francuskiego M. K.

Redaktorka **Ludwika Hauke.** Дозволено Цензурою. Варшава 29 Января 1901 г. Wydawczyni **Marya z Chomętowskich Balińska.**

W drukarni Noskowskiego, Warecka Nr. 15.

Abecadło w obrazkach.



Łukaszek był krnąbrnym i nieposłusznym chłopczykiem. Nikt z rówieśników bawić się z nim nie chciał, bo nikomu w grze nie ustąpił, wszystko być musiało tak, jak on chciał. A ileż razy, przez rodziców był wyłajany i ukarany, ileż razy ominął go spacer, lub inna jaka przyjemność! Wszystko to jednak nie pomagało.

Słuchajcie, co za skutki tego nieposłuszeństwa!

Na rzece, płynącej przez ogród, kołysała się, uwiązana do brzegu, łódka żaglowa. Ojciec surowo zabronił, by się Łukaszek nie ważył zbliżyć do wody, ani do łodzi.

— Oho! — myśli sobie Łukaszek — nie wolno, właśnie, że pojadę, cóż mi się stanie, przejadę się po rzece, i przekona się ojciec, jaki ze mnie dzielny wioślarz.

Jak pomyślał, tak zrobił. Pędem pobiegł do łodzi, odwiązał ją, wskoczył i odbił od brzegu. Dalej! jazda!

Łódź szybko mknęła po wodzie. Łukaszek nie posiadał się z radości. Ale uciecha jego krótko trwała; wiatr silnie dął w żagiel i posuwał łódź coraz szybciej. Łukaszek zrozumiał niebezpieczeństwo, zaczął kręcić sterem, chcąc dobić do brzegu. Napróżno, Łukaszek zaczął wołać, krzyczeć w niebogłosy. Całą siłą trzymał się ławeczki, bojąc się wpaść do wody. Na szczęście wołanie jego usłyszał ogrodnik, przybiegł na ratunek, a widząc panikę w groźnym niebezpieczeństwie, wskoczył w inną łódź, dogonił swawolnego chłopca i uratował go od niechybnego utonięcia.

Wycieczka ta, którą przypłacił zdrowiem, długo pozostała mu w pamięci i podobno od tego czasu Łukaszek jest o wiele posłuszniejszy.

N. Nagórna.

Zapusty u Maryni.

— Adasiu, bądź grzeczny, bo cię nie zaproszę na bal! — mówiła Marynia do młodszego braciszka.

— A kiedy będzie bal? — spytał Adaś.

— W ostatni wtorek — odrzekła Marynia, sadzając lalkę na wygodnym krzeselku.

— A kiedy będzie ostatni wtorek? — pytał braciszek.

— Jutro, a ja daję bal dla moich lalek — mówiła dziewczynka z wielką powagą.

— Eh! taki bal! — rzekł z lekceważeniem Adaś.

— A cóż ty myślisz sobie, że ja bylejaki wydam bal dla lalek! — odparła z obrażoną miną Marynia. Będą pączki, faworki, woda z sokiem, będzie muzyka i będziemy tańczyli.

— Przecież lalki ani jeść, ani tańczyć nie będą, bo są nieżywe — przerwał Adaś.

— To nic, lalki będą takie panie, co siedzą na kanapie i przypatrują się, jak inni tańczą. Dam każdej w rękę talerzyk z kawałkiem faworka, będą uśmiechały się, a my będziemy się bawili. Zjemy pączki i faworki i wypijemy wodę z sokiem, gdy się zabawą zmęczymy — tłumaczyła Marynia, układając cały plan zabawy.

— To ja postawię także swego konia, żeby się zabawie przypatrywał i dam mu także faworków, — odezwał się Adaś.

— Przecież do pokoju, ani na bal nikt nie prowadzi koni! — zawołała z oburzeniem Marynia.

— Na taki bal można i konia wprowadzić — odrzekł Adaś.

— Jeżeli tak, to cię nie zaproszę! — zawołała zadąsana Marynia.

— To nie! ja też wyprawię polowanie dla moich żołnierzy i ciebie nie zaproszę! — rzekł Adaś, wsiadając na konia. — Wio, wio! jedziemy zapraszać na polowanie — wołał, huśtając się na koniu. — Pyszna będzie zabawa! zaproszę także Ignasia, Władzia, Józię i Zosię.

— Oho, oni do ciebie nie przyjdą — przerwała Marynia.

— A to dlaczego?

— Bo zaprosiłam ich jutro na pączki! — odrzekła dziewczynka z tryumfującą miną.

— A ja ci powiadam, że przyjdą do mnie, nie do ciebie! — rzekł z uporem Adaś.

— Zobaczmy! zobaczymy! — nadąsali się oboje i zamilkli.

Po chwili Marynia zaczęła opowiadać lalkom:

— Jutro mama obiecała upiec pączków z konfiturami, doskonałych faworków, ja będę mamie pomagała, będę rozbijała jaja, nakładała konfitury w pączki, będę wykrawała faworki, a wy moje, córeczki, będziecie mi także pomagały. Ale trzeba wziąć fartuszek, żeby sukienki nie zabrudzić i nie trzeba zjadać konfitur przeznaczonych do pączków. Potem córeczki odpaszą fartuszki, ubiorą się ładnie, ja także się ubiorę, wezmę niebieską sukienkę, przyjdą goście, będziemy się bawili w ślepą babkę, w chowanego, potem mama zagra na fortepianie i będziemy tańczyli. Tylko pamiętajcie, żebyście nie zjadały konfitur.

— A czy dużo będzie konfitur w pączkach? — przerwał Adaś.

— Rozumie się, że dużo! mama powiedziała, że da pełen stoik wisien smażonych — odrzekła Marynia.

— Wiesz co, namyśliłem się, nie będę ci przeszkadzał, wyprawię polowanie kiedy indziej, jutro przyjdę do ciebie na bal! — mówił Adaś.

— Tylko bez konia! — zastrzegła Marynia.

— Nie bój się, kiedy będzie polowanie, to koń może poczekać i żołnierze także — i nastąpiła zgoda.

Adaś, jako grzeczny chłopczyk, odprowadził konia do stajni, żołnierzy zaś ułożył w wielkie pudełko, mówiąc:

— Odpoczywajcie sobie, wezwę was wkrótce na mustrę, a potem zaproszę na polowanie.

Na drugi dzień od rana Marynia była bardzo zajęta. Uporządkowała pokój lalek, ustawiła małe mebelki, ale była w wielkim kłopotcie, że nie ma kwiatów do ubrania swych córeczek.

— Poczekaj, poczekaj, ja ci zaraz zrobię prześliczne kwiaty! — zawołał Adaś.

I wzięwszy parę arkuszy kolorowej bibułki i nożyczki, zabrał się do roboty.

— Jestem dziś ogrodnikiem! — mówił, wycinając bibułkę.

Marynia uściskała braciszka, przypasała fartuszek i pobięła mamie pomagać.

Wkrótce Adaś zajrzał do kuchni.

Właśnie stał otwarty słoik z wiśniowemi konfiturami. Adaś przymknął się i naczepnawszy na łyżkę, poniósł do ust. Spojrzała to Marynia i pogroziła braciszce, który zawstydzony uciekł, połykając ulubione konfitury.

Marynia nie powiedziała mamie o łakomstwie Adasia, ale mama spostrzegła umazaną buzię chłopca. Nic jednakże nie rzekła, tylko robiąc pączki, nie włożyła w kilka konfitur.

Pączki udały się wybornie, porosły tak wielkie, jak duże pomarańcze, faworki prześlicznie pozwijane, obsypane cukrem, ułożone na półmisku, wyglądały jak wielka fura gałęzi, posypana śniegiem. O godzinie piątej przyszedł Ignasz z siostrzyczką Zosią, po chwili przybyła Józia i Władzio.

Bal się rozpoczął.

Dziewczynki podziwiała piękne kwiaty, któremi był ubrany pokój lalek i bukiety, które lalki w ręku trzymały.

— To roboty Adasia, on to dziś wszystko urządził! — pochwaliła go przed towarzyszkami Marynia.

— Ach, jakie wyborne pączki! — mówił Władzio, zjadając.

— A co za faworki! — chwalił Ignasz.

— To Marynia pomagała mamie, ona umie doskonale robić takie rzeczy — chwalił braciszek.

Zdarzyło się przecież, że Adaś wziął pączek i nie znalazł w nim konfitur, wziął drugi i ten był pusty.

Dostrzegła to mama i zbliżywszy się, rzekła mu po chwili:

— Widzisz, ktoś nam zjadł konfitury i do kilku pączków nie wystarczyło.

Adaś zaczerwienił się, pocałował mamę w rękę i rzekł:

— To ja zjadłem konfitury, słusznie mi się pączki bez konfitur należą!

Widziała to Marynia, żał się jej zrobiło braciszka, wyjęła więc wisienki ze swego pączka i podała braciszce, mówiąc:

— Wolę pączki bez konfitur, może zjesz je za mnie.

Adaś domyślił się zaraz podstęp siostrzyczki, przybiegł więc do niej, uściśnął i rzekł:

— Jakaś ty dobra Maryniu!

Potem zabawa szła przewybornie, Adaś i Marynia starali się, żeby goście jak najlepiej się zabawili. Gdy mama zagrała walca i dzieci tańczyć zaczęły, lalki ustrojone w kwiaty roboty Adasia, przypatrywały się, siedząc na kanapie. Adaś przed końcem zabawy pocałował mamę w rękę i zapytał:

— Czy mogę zaprosić gości na polowanie?

Mama chętnie zezwoliła. Jak się zaś odbyła ta zabawa i jak dużo zabito zwierzyzny, opiszemy zaraz po polowaniu.

Z. M.



Piotruś i Basia.

(Dalszy ciąg).

— A może spadł gdzie z komina — odezwał się drugi chłopiec — to wystarczy, żeby złamać nogę i znaleźć się w szpitalu, u kominiarzy toć to nie osobliwego.

— Ojoj! i zabić się można odrazu — dorzucił pierwszy — jeszcze dobrze, jeśli się tylko na złamaniu nogi skończy.

Basia nie odpowiedziała ani słówka, bo serce w niej prawie zamarło i czuła, że traci przytomność. Myśl, że jakiś niebezpieczny, a może i śmiertelny wypadek spotkał Piotrusia, i jej już przychodziła do głowy w strasznych chwilach niepokoju, ale starała się wszelkimi sposobami myśl tę od siebie oddalać. Tak Pana Boga usilnie prosiła, żeby to straszne nieszczęście od niej odwrócił, żeby jej słabe siły oszczędził, iż modlitwa podnosiła ją na duchu i dodawała nadziei. Teraz zaś, gdy o takim wypadku mówiono jej, jak o czemś bardzo możliwym, zwyczajnem i codziennym zdarzającym, zdawało jej się, że to nieszczęście już ją naprawdę spotkało, że Piotruś leży gdzieś chory albo bez życia. Nogi zdrząły pod nią, chciała się o mur oprzeć, czując, że słabnie, lecz w tejże chwili osunęła się już na ziemię bez zmysłów.

Przywołał ją do życia jakiś ostry zapach. Obejrzała się w około, by poznać gdzie jest i co się z nią dzieje, ale wszystko wirowało jej przed oczami, że mimowolnie znowu przymknęła powieki. Tymczasem ktoś zbliżył szklankę do jej ust i jakiś głos miły rzekł łagodnie.

— Spróbuj się napić, dziewczeczko, to dobre!

Po kilku chwilach poczuła wracające siły.

— Już mi dobrze — rzekła, powstając i przypatrując się młodej panience, która z wyrazem wielkiej litości w oczach, wspierała ją swem ramieniem.

— Chodź do nas, dziecko, mieszkam niedaleko, Jesteś słaba, a może i głodna, odpoczniesz sobie i posilisz się trochę.

— Jeść wcale mi się nie chce — cicho tłumaczyła się Basia.

Ale dobra panienka nie zważała na to, zaprowadziła ją do swego mieszkania, przyniosła filiżankę rosółu i bułeczkę i nalegała, żeby koniecznie coś zjadła.

Z wielkim wysiłkiem, żeby nie odmówić, wzięła się Basia do jedzenia, ale łyzy wprost ją dławiły. Panienka patrzyła na nią ze współczuciem.

W tejże chwili starszy mężczyzna, widocznie jej ojciec, przechodząc przez pokój, rzekł głosem wyraźnego niezadowolenia:

— Kogoż to znowu sprowadziłaś? Jakąś nową protegowaną widzę, czy aby nie z tych, które żebrzą, udając biedne, bo im się nie chce wziąć do żadnej pracy.

— Ona nie żebrała, mój ojciec — rzekła żywo panienka, zamykając drzwi starannie, za którymi pozostała Basia, aby nie słyszała tej rozmowy, która jej przykrość zrobić mogła. — Znalazłam ją na ziemi zemdloną; byłbyś się ojciec tak samo nad nią zlitował.

— To wszystko kłamstwo i udawanie. Rozumiem, dawać jałmużnę ociemniałym, starcom i wszelkim kalekom, którzy pracować nie są w stanie, ale nigdy dzieciom, które są zdrowe, a tylko nie chce im się nic robić. Tym sposobem rozpowszechnia się próżniactwo. Ale nadarmo tłumaczyłem ci to już tyle razy.

— Że ta dziewczynka nie jest nieuczciwą, a tylko wybiedzoną chorobą czy nieszczęściem, prawie pewna jestem — przedstawiała panienka.

W tej chwili otworzyły się drzwi od drugiego pokoju i Basia ukazała się na progu.

— Proszę panienki, Bóg zapłać za jej dobroć, już ja pójdę sobie.

— Pocóż się tak spieszysz? przecie jeszcze nie odpoczęłaś.

— Pójdę już, pójdę — nalegała Basia.

— To weź przynajmniej te kilka groszy, żebyś miała jutro na chleba kawałek — rzekła panienka zmar-twionym głosem, wsuwając jej w rękę srebrną złotówkę. Basia rękę odsunęła.

— Oj nie, panienko, dziękuję, przecie ja nic nie zrobiłam, za cóż miałabym brać pieniądze.

— Ja ci je daję w prezencie, wziąć je ode mnie mo-zesz, moje dziecko.

— Basia zaczerwieniła się i po chwili namysłu szepnęła:

— Wolałabym je zarobić. Żeby panienka była tak dobrą i dała mi jaką robotę.

Starszy pan podniósł oczy z nad gazety, którą czy-tał, spojrział na dziecko i rzekł:

— Zbliź-no się tu mała! Ile masz lat i jak się na-zywasz?

— Nazywam się Basia.

— A czyjaś ty?

— Chyba Piotrusiowa, wielmożny panie, a Piotruś to mój... mój brat.

— A gdzież jest Piotruś?

Basia nie odpowiedziała, natomiast oczy jej zalały się łzami. Po dłuższej chwili dopiero udało się panience uspokoić ją nieco i namówić na opowiadanie, z którego dowiedziała się, że jej brat jest małym kominiarzem, że się bardzo kochają, że się dotąd nigdy nie rozłączali aż oto przed trzema dniami Piotruś gdzieś zginął i ona ani go znaleźć, ani się czegokolwiek o nim dowiedzieć nie może.

(d. c. n.)

S Z A R A D A

p. H. S.

Druga-pierwsza — owad znany wam dobrze jest z bliska,

Pierwsze-drugie — to miasto — lecz sami szukajcie nazwiska.

ŁAMIGŁÓWKA W KWADRACIE.

p. Gałązkę z nad Dniepru.

A.	1	W sześciu rzędach ozna-
B.	.	2	czonych literami: A, B,
C.	.	.	.	3	.	.	.	C, D, E, F, ułożyć w ka-
D.	4	.	.	żdym wyraz sześciogło-
E.	5	.	skowy. Litery oznaczo-
F.	6	ne liczbami od 1 do 6

włącznie złożą nazwę mia-

sta we Włoszech. Sylaby: Nar—mem—spar—ka—szy—kar—ta—mel—czap—cyz—mon—fis. Znaczenie wyrazów: A) kwiat wiosenny. B) Miasto starożytne w Egipcie. C) Miasto starożytne w Grecji. D) Nakrycie głowy. E) Imię męskie. E) Góry w Palestynie.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 5.

Metagramu: Bróg, próg, wróg.

Łamigłówki sylabowej.

1) Alpy. 2) Malta. 3) Epilog. 4) Rekin. 5) Igrzyska. 6) Gleczery. 7) Opal. 8) Vichy. 9) Ezop. 10) Szafran. 11) Parki. 12) Uwertura. 13) Canova. 14) Chmielnicki. 15) Izajasz.

Amerigo Vespucci.

Łamigłówki kropkowanej:

Król Jagiełło bił Krzyżaki,
I pan Krupa chciał być taki.
Darmo kusisz się nieboże
Krupa jagłą być nie może.

Skrzynka do listów.



Stanisławowi K. i Romanowi O., żądane numera wysyłamy.
Orkan po książkę niech się zgłosi do Redakcji.

Zadania własnego układu i dobre rozwiązania nadesłali:

Lilijka z Chmielnej, Zosia M. z Mańkowa, Szymuś i Maniusia R., Mały Wołodyjowski, Żabka z Pawotoczy, Jadwiga i Roma W., Ir-ig, Wodna Trawka, Lew z pod Chechły, Wiselka (bez rozwiązań), Zwinny Jelonek (metagram rozwiązany mylnie), M., Orkan, Lilla Weneda, Gustawa Dobr., Biała Gołąbka z nad Ludki i Młody Myśliwy.

Sprawozdanie z zadania o dwóch subiektach umieścimy w następnym numerze. Otrzymałobyśmy bardzo wiele trafnych rozwiązań i kilkanaście mylnych.

Z Gałązką Wiśniową czy z Gopłą równie chętnie korespondować będę, pozostawiam ci wybór pseudonimu, lecz sama wolę ten drugi.

Choć się czasami spóźnię z odpowiedzią, Guciu Dobr., nie posądzaj mnie jednak o zapomnienie; czyż mogłabym zapomnieć o tak dawnej i stałej korespondencji, której to tylko zarzucić by można, że krótkie przysyła mi kartki.

Różyczce z Podola. Obiecane marki przyjmujemy chętnie i wyślemy do miejsca przeznaczenia. Życzę ci kochana Różyczko, by twoja skarbonka, gdy ją otworzysz, była wypełnioną po brzegi. Takie stałe odkładanie części miesięcznej pensji na Kolonie Letnie lub inny cel dobroczynny zasługuje na szczerą pochwałę i więcej ma znaczenia niż jednorazowa ofiara, choćby większa. I w oszczędności i w dobrych uczynkach wytrwałość i stałość najwięcej przynosi dobrego.

Gdy się tylko lepiej zapoznamy, zaliczę cię niewątpliwie, Polna Różyczko, do moich dobrych przyjaciółek, które z zaufa-

niem garną się do mnie i z którymi łączy mnie nie prawdziwej sympatii i przywiązania. Premium tegoroczne będzie stanowiła jedna dla wszystkich bardzo zajmująca książka, która wyjdzie dopiero w IV kwartale dla wszystkich prenumeratorów, tytuł jej wkrótce Redakcja poda. Dalszej zapowiedzianej korespondencji oczekuję z niecierpliwością.

Przyjęłam do wiadomości oświadczenia wasze, kochani: **Sokole, Kmicicu, Jutrzenko, Wiselko i Turkawko leśna**, a nawzajem proszę byście przyjęli do wiadomości, że, 1-o listy, wasze wcale mnie nie nudzą, 2-o, że na nie najchętniej odpisywać będę. Przy zadaniach własnego układu trzeba podawać dokładne rozwiązania, przysyłcie więc i łamigłóvkę i niteczkę Aryadny powtórnie, bo jak teraz przyjęte być nie mogą.

Bardzo dziękuję **Pliszce** za kartę czyli pocztówkę z ciekawym widokiem Sławuty; z tamtych okolic mam bardzo mało widoków, więc będę ci bardzo wdzięczna, jeżeli zechcesz mnie nie mi obdarzać.

Lilla Weneda po zeszłoroczne premium zgłosić się może do Redakcji, jak to w pierwszym numerze 1900 roku ogłoszone bywało. Na przyszły raz nie obawiaj się znudzić mnie zbyt często i napisz cokolwiek obszerniej, byśmy się lepiej zapoznać mogły.

Życzenie **Białej Gołąbki** spełniam w tej chwili i zapisuję ją na listę swych korespondentek, a łamigłówki odsyłam Redakcji.

Nie obawiaj się **Marusiu H.**, abym się śmiała z twych błędów, bo wiem, że jesteś bardzo młodziutka i doskonale pisać jeszcze nie możesz, zresztą ani jednego błędu nie dopatrzyłam, a liścik twój krótki, ale porządnie i czysto napisany.

Cygance z nad Jasiołki za kartki z ładnymi widokami dziękuję, ale bardziej za to, żeś po tak długim milczeniu przypominała sobie moją „skrzynkę,” w której już oddawna, żadnej wiadomości o tobie nie znajdowałam. Postaram się wysłać ci parę kartek, które mieć pragniesz.

Łochozwiance. Byłam parę razy latem w okolicach miasta Slon. i st. Baran., dlatego napisałam, że znane mi są twe strony rodzinne. Zgadłaś, że dziewczynki częściej do mnie piszą, niż chłopcy, bo mają więcej od nich wolnego czasu. Autorkę „Róży bez kolców” znam osobiście, ale chociaż równie jak ty ciekawie rozpytywałam ją o losy i pochodzenie sir Warburton'a, nic mi powiedzieć nie chciała, musimy więc cierpliwie oczekiwać końca, tej zajmującej powieści.

Miechowita i Inżynier sprawili mi jak zwykle wielką radość swoimi serdecznymi i zajmującymi listami. Wiem, że czas macie zajęty lekcjami i ślizgawką, więc choć wasze listy zawsze są mi pożądane, nie mogę wymagać, abyście pisywali częściej. Życzenie wasze postaram się spełnić jak najprędzej. Całą gromadkę waszą pozdrawiam najserdeczniej i bardzo często spoglądam na kartę, gdzie widzę wasze dzielne postacie i wesole, bystre twarzyczki.

Wiselka pozdrawia Polską Dzieweczkę i zapytuje, czy jest **Brońcią H.** jak się domyśla.

Pokazywałam rysunki **Wiewiórki** nauczycielce rysunków, która znalazła, że jak na pierwsze próby rysowania z natury osoby, która się wcale nie uczyła, świadczą o jej zdolnościach i że pod dobrym kierunkiem należy je rozwijać i kształcić. Jest w tych szkicach poczucie prawdy, ruchu i wcale niezły układ figur. Sądze, że cię ta odpowiedź zadowolni

Wasza *Jaskółka*.

WYMIANA ILUSTR. KART POCZTOWYCH.

Helena Wyszynska (Miechów gub. Kielecka) prosi o nadsyłanie ilustr. kart pocztowych, które też w zamian przysyłać będzie.

Uwaga Redakcji. Dla dogodności czytelników „Wieczorów,” zbierających piękne karty pocztowe, pomieszczamy bezpłatnie ogłoszenia prenumeratorów naszych o wzajemnej wymianie takich kart za listownem zezwoleniem ich rodziców lub opiekunów.